NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie K 24·70, Mk 16·12. Półrocznie K 49·40, Mk 32·24. Rocznie K 98·80, Mk 64·48. W Austryi: Kwartalnie K 24·70. Półrocznie K 49·40. Rocznie K 98·80. W Niemczech: Kwartalnie Mk 16·12. Półrocznie Mk 32·24. Rocznie Mk 64·48 z przesyłką pocztową.

Zmiana adresu 60 halerzy.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 1 kor., na miejscu specyalnie zastrzeżonem kor. 1·40, za wiersz nonpareilowy jednoszpaltowy 2 kor., za wiersz petitowy w części reklamowej 5 kor.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).

Telefon Nr. 479.

Naczelny redaktor: Wincenty Korolewicz.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Wyłączne zastępstwo na Warszawę i Królestwo Polskie: Zygmunt Bereda, Warszawa, Marszałkowska 119. Łódź, Piotrkowska 62.

Numer pojedynczy 2 kor. — 1 Mk. 70 fen.

Rok XVI. | Kraków, 23. sierpnia 1919. | Nr. 34

Herbert Hoover w Krakowie.



Hołd dzieci Hooverowi w parku Jordana.

Herbert Hoover w Krakowie.

Przyjazd Herberta Hoovera do Polski stał się wielką uroczystością, której rozmiary przekraczają znacznie te wszystkie przyjęcia, jakie dotychczas gotowaliśmy misyom i reprezentantom koalicyi. Składają się na to dwa powody. Dotychczasowa humanitarna działalność znakomitego Amerykanina, której zawdzięczamy możność wyżywienia wielkich



Herbert Hoover.

mas ludności w ciągu ostatniej zimy i wiosny, a tem samem uniknięcia najgroźniejszych wstrząśnień społecznych. Okazał w tej działalności tyle samo serca, co energii i rozumu, sercem też mu zapłaciło nasze społeczeństwo, witając go na ziemiach wskrzeszonej Rzeczypospolitej.

Ale jest i inna jeszcze przyczyna, dla której przyjazd reprezentanta Ameryki urasta do tak wyjątkowego znaczenia. Z Ameryką wiążą nas stosunki dawne i silne. Emigranci nasi od pierwszej porozbiorowej generacyi znajdowali zawsze w Ameryce nie wyzysk, ale gościnne przyjęcie, szkołę kultury i pracy, źródło wzbogacenia siebie i swoich rodzin.

Obecnie Polska u Ameryki szuka pomocy, której ej ta wielka siostrzyca nie skąpi! Stosunki bowiem tak się układają, że do Ameryki, która pierwsza bezwzględne hasło niepodległości polskiej w styczniowem orędziu prezydenta Wilsona wygłosiła, droga jest nam o wiele bliższa, a jej pomoc dużo pewniejsza. Do wykończenia budowy gmachu państwowości naszej, potrzeba nam także życzliwej pomocy z zewnątrz. Jeśli więc po tę pomoc zwracamy się do potężnej, bogatej i rządnej Ameryki, to czynimy to w przekonaniu, że zetknąwszy się z nami i roztoczywszy nad nami swoją opiekę, Ameryka natchnie nas temi cnotami politycznemi i gospodarczemi, które ją samą na czoło cywilizowanego świata wyniosły.

Przyjazd Herberta Hoovera jest symbolem tej inwazyi ducha i cnót amerykańskiego narodu, które tak radzi powitaliśmy w odradzającej się Ojczyźnie. W jego więc osobie uczciliśmy nie tylko filantropijną akcyę ostatnich kilku miesięcy, ale również ową amerykańską energię i pracowitość. Przedstawiciel potężnej Ameryki, szlachetny szafarz zasobów Nowego Swiata prawdziwy przyjaciel Polski, z entuzyazmem witany był na ziemiach Polski.

* * *

Kraków witał Hoovera w ubiegłą niedzielę. Tysiączne rzesze ludności, wielki tłum dzieci, przybył na dworzec, by przywitać swojego zbawcę. Na peronie ustawiły się delegacye i wojskowość. Po przyjeździe Hoover udał się obrzucany po drodze kwiatami przez dzieciaków do gmachu starostwa.

W chwilę po tem przyjechał z Warszawy prezydent Paderewski i minister skarbu Biliński. Wśród entuzyastycznych okrzyków publiczności, ustawionej przed dworcem, ukochany nasz premier udał się na konferencyę do Hoovera.

W południe w sali Rady miejskiej, wobec radnych miasta i zaproszonych gości, przemówił do Herberta Hoovera prez. Federowicz, na co odpowiedział Hoover, dziękując za przyjęcie i zapewniając, że Ameryka pamięta czyny Pułaskiego i Kościuszki, którzy walczyli o jej wolność i szczęśliwą jest, że może ojczyźnie tych wielkich ludzi pomóc przy dźwiganiu się z niewoli ku słonecznej wolności.

Po południu odbył się hołd dzieci w Parku Jordana. Przed Hooverem, który przybył w towarzystwie prez. Paderewskiego, przedefilowały tysiączne rzesze dzieci, które zawdzięczają jemu to, że nie wymarły z głodu. Dzieciaki obrzucały kwieciem „Napoleona miłosierdzia", jak słusznie go w Warszawie nazwano i witały zbawcę swego z całym zapałem, na jaki zdobyć się może serce dziecka — serce dziecka polskiego. Witano go jako wielkiego dobroczyńcę naszej, znękanej głodem dziatwy — oddając cześć zasłużonemu mężowi. W ciągu dnia przyjął Herbert Hoover delegatów Rady Narodowej Cieszyńskiej, Rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego ks. Sieniatyckiego z dziekanami, ks. biskupa Sapiehę, Izbę handlowo przemysłową i inne instytucye kulturalne i humanitarne. Wieczorem odbył się obiad u del. Biesiadeckiego na cześć Hoovera. Przyjmując tego drogiego gościa w mieście naszem, nie szukaliśmy określenia dla jego osoby i rodzaju jego działalności. Ot, widzieliśmy w nim przyjaciela Polski, albowiem takiem imieniem nazwać go mamy prawo, gdyż wyrwał nas z paszczy nędzy, wycieńczenia fizycznego i śmierci. Nieśliśmy mu więc na powitanie serce, pełne wdzięczności i nadziei, miłość i cześć.

Rocznica Unii lubelskiej we Lwowie.

W niedzielę 10. b. m. przy bardzo pięknej pogodzie odbył się we Lwowie uroczysty obchód z powodu rocznicy Unii Lubelskiej.

Rano po odegraniu pobudki przez kapelę wojskową ze wszech stron ciągnęły tłumy publiczności i delegacye ze sztandarami na Wysoki Zamek. Na szczycie kopca powiewała flaga narodowa. Na polanie u stóp ruin zamku urządzono ołtarz polowy w wielkim namiocie, zdobnym w szkarłaty i gronostaje i uwieńczonym koroną. Z biało-czerwonego tła wyglądał herb Orła, Pogoni i obraz Bogarodzicy. Mszę św. celebrował ks. biskup Twardowski, w otoczeniu duchowieństwa.

Przed ołtarzem zgromadzili się: gen. delegat rządu dr. Gałecki. gen. Madziara, gen. Nowotny, komendant miasta pułkownik Linda, członkowie misyi zagranicznych, prezydent miasta Neumann z wiceprezydentami dr. Chlamtaczem, dr. Schleicherem, dr. Stahlem i radnymi. rekt. dr. Jurasz, uczestnicy powstania 1863 r. z prez Tow. Syroczyńskim i Biechońskim, reprezentanci wszelkich urzędów, dalej Strzelnica, krąg sztandarów cechowych z zielonemi gałązkami, delegacye związków zawodowych i Towarzystw, M. S. O., dziatwa szkolna i publiczność.



Rocznica Unii lubelskiej we Lwowie: Arcybiskup Hryniewiecki podczas przemówienia na balkonie gmachu sejmowego.



Oddział Hallerczyków podczas mszy polowej.



Rocznica Unii Lubelskiej we Lwowie: Przed gmachem sejmowym. (Fot. Mins, Lwów.)

Dookoła polany w wieńcu brzóz utworzyło wojsko zwarty czworobok. Jeden rząd stanowiła kompania bojowa Hallerczyków, dalej Legia kobiet, oraz żołnierze wszystkich rodzajów broni. Podczas mszy św. na odgłos pobudki padły trzy salwy honorowe.

Po mszy przemówił do zgromadzonych wiceprezydent miasta dr. Chlamtacz, poczem ruszył pochód do miasta. Pod pomnikiem Mickiewicza oddano hołd wieszczowi, którego dała nam Litwa, a przed gmachem Wydziału krajowego ks. arcybiskup Hryniewiecki odczytał deklaracyę. Wieczorem odbyło się uroczyste przedstawienie w teatrze miejskim.

Pożegnanie „Dzieci krakowskich“.

Kraków żegnał w ubiegłym tygodniu batalion zapasowy 13 p. p. t. zw. „Dzieci krakowskich“, przeniesiony na stałe do Modlina. Pułk ten, niejako własność Krakowa, zrósł się z jego historyą, był jego umiłowaniem i chlubą. Właściwy Krakusom temperament i brawura, ujawniały się chyba najbujniej wśród młodzieży, stanowiącej załogę miasta.

Wiadomość o postanowieniu przeniesienia batalionu spadła na mieszkańców niespodziewanie i nagle tak, że już nie było czasu na inicyatywę planowo pojętej uroczystości ze strony ludności cywilnej. Inicyatywa wyszła z łona samego batalionu.

Mimo to i mimo niepogody, a zwłaszcza dotkliwego zimna, ludność tłumnie uczestniczyła w uroczystości, rozpoczętej mszą polową na Błoniach, którą odprawił kapelan załogi ks. Jarosiński. Mszy podczas której grała muzyka wojskowa, wysłuchali przybyli na tę uroczystość generałowie Piasecki i Stiller, oficerowie różnych stopni, prezydynm miasta z prez. Federowiczem, przedstawiciele instytucyi naukowych, prasy, prezes „Sokoła“ Turski, ustawiony w głębokich szeregach batalion i publiczność. Po mszy przemówił do żołnierzy ks. Jarosiński, podnosząc cnoty, jakie mają i muszą cechować żołnierza polskiego. Krótkim, a treściwem przemówieniem pożegnał żołnierzy gen. Piasecki. Rewia zakończyła tę podniosłą, chwytającą za serce uroczystość. Przy dźwiękach muzyki przedefilował batalion przed generalicyą i przedstawicielami Krakowa.



Pożegnanie „Dzieci krakowskich“: Msza polowa na Błoniach krakowskich.



Zjazd kolarstwa polskiego w Krakowie: Delegacye kolarzy z całej Polski

Zjazd kolarstwa polskiego w Krakowie.

Z inicyatywy krakowskiego klubu cyklistów i motorzystów doszedł do skutku pierwszy zjazd kolarstwa z całej Polski, przy bardzo licznym, jak na obecne na każdym kroku spotykające się z piętrzącymi trudnościami stosunki, udziale, bo zgromadził z górą sto osób z różnych stron Polski. Byli goście z Warszawy, Łodzi, Piotrkowa, Płocka, Częstochowy, Sosnowca, Poznania, Lwowa, Tarnowa, Zywca i Rzeszowa. Pracami zjazdu kierował K. K. C. i M. pod prezesurą p. St. Rudnickiego.

Pierwszy dzień poświęcono wyłącznie zawodom sportowym. Przed południem odbył się wyścig drogowy kolarzy na przestrzeni 50 km. między Krakowem a Niepołomicami. Wynik był następujący: do mety przybyli kolejno 1) Grąszczewski St. z Warszawy w 1 godz. 59' i 52"; 2) Zawadzki Fr. z Warszawy w 2 godz. 7' i 45"; 3) Sikorski T. z Krakowa w 2 godz. 8' i 15"; 4) Gnojek I. w 2 godz. 9' i 51" i 5) Zmija Fr. w 2 godz. 21' i 55". Maszyny Zawadzkiego i Gnojka uległy podczas jazdy zepsuciu. Reszta startujących przybyła w oznaczonym terminie 3 i pół godz. Po południu odbyły się wyścigi na szosie mogilskiej. W następny dzień rozpoczęto obrady w sali „Sokoła“, których tematem była sprawa założenia Związku kolarzy z całej Polski. Po zagajeniu p. Rudnickiego obrano prezesem Zjazdu p. Siedleckiego z Warszawy, zastępcami p. Rakowskiego i Nowickiego, sekretarzami p. Filipka i Wocka, nadto sześciu asesorów.



Zjazd kolarstwa polskiego w Krakowie: Zwycięzcy biegu 50 kilometrowego. 1) St. Gąszczewski. 2) Fr. Zawadzki. 3) T. Sikorski.



Pożegnanie „Dzieci krakowskich: Batalion 13 p. p podczas mszy św. na Błoniach krakowskich.



Święto zwycięstwa w Belgii: Tłumy podczas pochodu na ulicach Brukseli. (Z L'Illustration).

Swięto zwycięstwa w Belgii.

Po długich dniach niedoli, po długich dniach znaczących się ruinami i zgliszczami, jakie za sobą pozostawili Niemcy, Belgia obchodziła wielkie święto zwycięstwa, które ma prawo obchodzić. Niemcy nie szczędzili trudu i wytężonej pracy, aby zamanifestować swoją mocną i brutalną rękę, która nie zna, co to litość i nie chce nigdy mieć przed sobą, że świat żąda zawsze odpowiedzialności, za każdy czyn. Dziś więc entuzyazm dla Belgii nieopisany.

Swięto zwycięstwa w Brukseli odbyło się nadzwyczaj uroczyście. W „Palais de la Nation" zebrano się na posiedzenie w poważnem i pełnem zrozumieniu chwili nastroju. Trybunę otoczyły sztandary wojsk belgijskich, obok ustawiła się straż honorowa, w koło senatorowie i deputowani; korytarze zapełniły tłumy. Na wszystkich ustach wdzięczność dla Francyi, największej sojuszniczki Belgii. Nagle fala przeszła przez zgromadzonych i podniósł się żywiołowy okrzyk: „Niech żyje Foch!" pochyliły się sztandary. Za chwilę rozszedł się szmer „Prezydent republiki francuskiej". Tymczasem tłumy zgromadziły się przed hotelem, w którym zamieszkał Poincaré, gdzie wzniósłszy okrzyki, złączono się z pochodem. Na wszystkich twarzach widać radość, każdego ruch znamionuje wewnętrzne uczucia, we wszystkich myślach ten tylko głos, że wreszcie wolność, wreszcie nowy dzień zaświtał.

Belgię może najlepiej my rozumiemy. Bo też wojna zakreśliła przed nami ten sam los. Tak jak przez ich i przez nasz kraj przeszła niszczycielska burza germańska. Tak jak oni i my czujemy co to brutalność i co to wreszcie niewola. My dziś wstajemy z gruzów do nowego życia, tylko po stu kilkudziesięciu latach i po strasznych dniach wojny. Belgia także wstaje do nowego życia, zaprzęga się do intenzywnej pracy, która ma z gruzów ożywić to, co zdawało się, że już zginęło po długie czasy. Ale czy tracono tam nadzieję, że dzień sprawiedliwości wreszcie nadejdzie, bo nadejść musi. Nie, tylko, że tam nadzieja opierała się na potężnej armii aliantów, u nas jedynie przez długi czas na własne siły. Tak, rzeczywiście jedynie tylko na własnych siłach, bo wrogowie, z którymi nas zawsze łączono, byli jedynie szczeblem, który miał zbliżać i wreszcie zbliżył do zemsty na nich samych. Po ruinach, ale na wyrosłej już dawno wysokiej państwowej i gospodarczej podstawie, gdy u nas wszystko trzeba budować cegiełka po cegiełce i to jak budować. Obok nich i nas staje Francya, która jedna rozumie, co to jest sprawiedliwość i nie kieruje się wyłącznie względami interesów przyszłych. To też nie dziwimy się, że święto zwycięstwa w Belgii, jest również świętem Francyi, podobnie jak święto nasze, jest świętem bratniego nam francuskiego narodu. Oby jedynie ta harmonia nie przejęła w siebie żadnego fałszywego tonu. Rozumiemy, że będąc ustawicznie pod presyą patrzących wyłącznie w perspektywie finansowych przesłanek można na chwilę stracić siły, ale niewolno obalać idealizmu, dla cudzego, opierającego się na mocnem przekonaniu niesłuszności zdania Dlatego teraz święto Belgii niech będzie i dla nas dniem uroczystym



M. Pichon. Marszałek Foch. M. Poincaré. Pani Poincaré.

Święto zwycięstwa w Belgii: Trybuna z przedstawicielami Francyi. (Z l'Illustration).

Weatherley Chesney.

SZTYLET.

(Z angielskiego tłumaczył H.).

14

Mr. Gates zrozumiał, że posunął się za daleko i spróbował ułagodzić jego gniew.

— Na Boga Richmondzie, ja zwaryuję! Wierz mi, mam dosyć trosk, a ty jeszcze napadasz mnie twoimi niesłusznymi wyrzutami. Gdybym miał pieniądze, podzieliłbym z tobą ostatni grosz. Starych przyjaciół nie zapomina się tak łatwo. Weź to ostatnie złoto, jeśli ci to wystarczy, cztery szylingi zostaną dla mnie na dzisiaj, a potem apres cela le déluge.

Dr. Fitzgerald odmówił dumnym ruchem.

— Zachowaj swoją mamonę, obraziłeś mnie, mnie, dr. Fitzgeralda z Waterford, uniwersytet Oxfordzki. Idę, moja godzina wybije jeszcze, bądź zdrów.

Drzwi zatrzasnęły się z hałasem, a Gates odetchnął z ulgą.

— Co się mu stało, staremu dziwakowi, grozi mnie! ? Dzięki Bogu, nie ufałem mu nigdy. Co, znowu ktoś? Proszę!

Drzwi otwarły się znowu. Wszedł kapitan Brett. Nastąpiła rozmowa, którą już znamy.

Kiedy i ten drugi gość go opuścił, Mr. Keighley nie posiadał się z wściekłości.

— To tak! Ten kapitan Brett z królewskiej marynarki ma nos wyżła policyjnego. Piękny talent! Szkoda tego młodzieńca, zapoznał swój talent! Świętej pamięci Sherlok Holmes byłby miał z niego pociechę. Tak, tak mój młodzieńcze. Zaczynasz stawać się za mądrym. Musimy cię wziąść w kuratelę i to jak najprędzej, chodzi tylko o to, jak to zrobić. Raz już znalazłeś się w bezpiecznem schronieniu, gdyby grę jeszcze raz powtórzyć, ale jak? Zaraz, a możeby... nie, to na nic. Na to on się nie złapie. A może by ta młoda panienka? Doskonała myśl! Tu go trzeba dostać. Zazdrość? Trudno. Brawo, już mam!

Mr. Keighley Gates klasnął z tryumfem w ręce, wąskie usta ściągnęły mu się w szyderczym uśmiechu. Tak wyglądał prawdopodobnie Mefisto, gdy Faust zapisywał mu swą duszę.

— Tak, tak, mój drogi kapitanie! Przytniemy ci coskolwiek skrzydeł i to zaraz.

Sięgnął po atrament i pióro i napisał, a twarz promieniała mu radością:

— Kochany Richmondzie! Daruj, proszę, zły humor z dzisiejszego ranka i przyjdź jak najprędzej do mnie. Muszę naradzić się z tobą nad bardzo ważnymi planami.

Zaadresował list, wypisując jakąś mało znaną ulicę wschodniego Londynu i zadowolony z siebie udał się na spoczynek.

Ściemniało się już, gdy go zbudzono. Dr. Fitzgerald nadszedł w doskonałem usposobieniu i był wesoły, nawet sarkastyczny.

— Puls — mruczał, lokując swoje drobiazgi toaletowe — hm, febryczny; język... hm obłożony. Recepta!

Usiadł i pisał, poczem nacisnął dzwonek i polecił kelnerowi:

— Chłopca do apteki, flaszka na rachunek p. Gatesa.

Zajął miejsce przy łóżku i pozostawił Mr. Gatesowi, aby on nawiązał rozmowę.

— Richmondzie — zaczął tenże słodkim tonem, pełnym zadowolenia i przyjaźni — mam dla ciebie dwie rzeczy, które muszą zaraz być zrobione. Należy zrobić dobry połów i uprowadzić dziewczynę.

— Miasto czy wieś?

— Miasto. Ogród Wery.

— Oba?

— Oba w jednem miejscu.

— Złe miejsce, policya pod ręką.

— Nie da się inaczej. Dziewczynę trzeba jutro zabrać i ty to zrobisz.

— Dokąd?

— Gdzieś do ustronnego domu.

— Miłość?

— Nie, Richmondzie słuszna zemsta.

— To już lepsze, opowiadaj.

— Znasz przecież tego kapitana Bretta?

— Jeszcze jak!

— To jego narzeczona.

— Doskonale! Dalej!

— Człowiek ten zaczyna następować mi na pięty.

— Andley Street?

— Tak i muszę go się bardzo strzedz. Jedno nieopatrzne słowo, a złapie mnie. Ma się rozumieć, z morderstwem nie mam nic wspolnego, ale częściowo jestem wplątany w całą sprawę i chętnie bym się draba pozbył. To zaś może się stać, gdy go czem innem zajmiemy. Niech dziewczyna zniknie, to rzuci się z całą energią na poszukiwania, a ja będę miał spokój.

— Hm... a co za to?

— Pięćdziesiąt funtów; połowę rano, resztę skoro rzecz zostanie załatwiona. Gdybym miał pieniądze, dałbym ci połowę odrazu, ale dostaniesz ją na pewno. Zamówiłem Glashera na wieczór, kupi on brylanty, a także i futro, o ile połów się nie uda.

Uśmiechnął się kwaśno.

— Czy tam jest co do zdobycia?

— Ludzie bogaci; w każdym razie stary ma pokaźny zapas srebra stołowego. Ma się rozumieć, będzie zrozpaczony, kiedy dziewczyna zniknie. Nie będzie mógł w nocy spać, pozostawimy też ślad, za którym pójdzie, aby nam pole oczyścić. Mam zamiar posłać go do Gloucester, a wtedy zabierzemy się do roboty.

— Hm, to twój wydział, ja zabiorę się do dziewczyny. Plan ułożony?

— Tak. Zajedziesz przed dom dorożką, ma się rozumieć zamkniętą i powiesz, że kapitan uległ gdzieś daleko wypadkowi i wzywa ją do siebie. Ona wystraszy się ogromnie i ani chwili nie będzie się namyślała. Nie będziesz miał żadnych trudności. Zrób to jednak po południu, kiedy stary jest w klubie.

Fitzgerald namyślał się.

— Uprowadzenie, niebezpieczna historya. Powiedzmy... sto. Bob, pięćdziesiąt oscbno, jeśli nam się połów uda. Naturalnie, podzielimy się?

— Top — przyświadczył Gates — wiesz przecież, że jestem rzetelny.

— Dzisiaj rano byłeś szatanem, mój drogi.

Gates uśmiechnął się. Po omówieniu jeszcze kilku szczegółów, oddalił się Fitzgerald.

W pół godziny potem przybył do Gatesa jeszcze jeden człowiek o żydowskim wyglądzie, który kazał się zameldować, jako Mojżesz Glasher. Rezultat dwóch zadowalniających konferencyi i recepty dr. Fitzgeralda był ten, że godny kompan zasnął spokojnym snem, którym zakończył jak niewinne dziecko przy owocnej pracy spędzony dzień.

ROZDZIAŁ XIV.

Narada.

Dopiero na drugi dzień rano mógł kapitan Brett odwiedzić Mabel i opowiedzieć jej o swej wizycie u Mr. Keighleya Gatesa. Ranna poczta przyniosła także list od Wraya. Wsadził go pospiesznie do kieszeni i pospieszył do narzeczonej.

Po serdecznem powitaniu, zapytała Mabel troskliwie:

— Jakie nowe wiadomości przyniosłeś mi, Duncanie?

— Zupełnie nowe fakta, Mabel. Zdziwisz się. Wyobraź sobie, Gates sam wsadził ową fotografię do albumu.

— Mr. Gates? Jakie dziwne! Z jakiego powodu to zrobił?

— Moja droga, to właśnie i ja chętnie chciałbym wiedzieć. Faktem jest, że on właśnie i to z naciskiem zapewnił mnie, że on tego nie zrobił i co dziwniejsze, że uczynił to nie zapytany zupełnie o to przezemnie. W biurze policyjnem dowiedziałem się zaraz potem, że właśnie jego widziano przy tej robocie.

— Dziwne. Jakiż interes miałby Mr. Gates w tem, aby tak postąpić?

— Jest to dla mnie zagadką, właściwie nic dotychczas o tym człowieku nie wiem. Czy on był przyjacielem Jerzego?

— Właściwie nie, tylko znajomym. Jerzy poznał go gdzieś w towarzystwie i upodobał sobie w jego ciekawych opowiadaniach. Jak wiesz, Jerzy jest namiętnym strzelcem. Gates opowiadał mu wiele o swych przygodach i zaprosił go nawet, aby pojechał z nim do Zambezi, aby tam zapolować na słonie. Zdaje się jednak, że Jerzy nie dowierzał właściwie temu człowiekowi, inaczej byłby nie ominął sposobności użycia takiej przyjemności.

— Pomyśl, Mabel, może przypomnisz sobie coś odnośnie do tego człowieka, co bodaj choćby w luźnym związku pozos aje z nim i naszą sprawą.

— Nie, nie, chociaż.. czekaj no! Wiesz, on był u nas w tym dniu, kiedy wieczór popełniono ów mord; wtedy zwrócił nawet specyalną uwagę na sztylet, który wisiał na ścianie w pokoju Jerzego, a który spowodował, że podejrzenie zwróciło się przeciwko Jerzemu. Jerzy odwiedził mnie potem i narzekał na tego człowieka. Podobno on, Gates, poczynił wobec niego szereg uwag z powodu Harriety Staples i doradzał mu, aby z nią zerwał. Mój brat uważał to wystąpienie za wielki nietakt, tem bardziej, że o tej sprawie nigdy z nim nie mówił. Dał on mu to też dobitnie do zrozumienia. Przypominam sobie, że Jerzy był bardzo wzburzony.

— Co Gates powiedział na swe usprawiedliwienie?

— Podobno oświadczył, że uczynił to ze szczerej przyjaźni dla Jerzego.

Był to frazes bez znaczenia. Brett sam nie mógł nic ujemnego powiedzieć o Gatesie, prócz tego, że go okłamał odnośnie do fotografii. Nie sądził jednak, aby mieszał się w tę sprawę tylko z przyjaźni. Mógł się jednak mylić.

— Nie mamy powodu łamać sobie nad tem dłużej głowy — oświadczył wreszcie Brett — nie stwierdzimy właściwych powodów jego postępowania. Należałoby mu udowodnić, że skłamał w sprawie owej fotografii, ale jak mam to zrobić? Wprost napaść nie mogę na niego, gdyż wyraźnie przeciw wspólnictwu z tą sprawą się wobec mnie zastrzegł.

— Dobrze więc, Duncanie, musimy się go strzedz. Jeśli on fałszywie wobec nas postępuje, wcześniej lub później zdradzi się z tem.

— Dostałem dzisiaj rano także list od Wray'a — zauważył Brett po chwili. — Podaje żądany rysopis brata Lady Florence, przedstawia go jako człowieka młodego, blondyna, z szeroką szramą na czole. Znak ten pochodził z czasów młodości, a był następstwem uderzenia głową przy upadku o kratę kominka. Kiedy opuszczał dom rodzinny, szrama była dokładnie widoczna i zapewne do dzisiaj taką pozostała. Był bardzo wysoki, blisko sześć stóp. O ile wiem, nie stracił ręki. Niestety, to wszystko, co mogę ci donieść.

Mabel słuchała bardzo uważnie, wreszcie zawołała.

— W takim razie ów aktor jest jej bratem!

— Ja to samo przypuszczam. Rękę stracił widocznie już po opuszczeniu domu rodzinnego.

Wzburzenia i troski ostatnich dni wypisały się dokładnie na twarzy Mabel. Duncan obserwował ze smutkiem, jak była blada i znużona. Dotychczas trzymała się bardzo dzielnie, siły jej jednak dobiegały do kresu. Kiedy obecnie podczas gdy naradzano się nad tem, co należy w najbliższym czasie przedsięwziąć, nerwy jej odmówiły posłuszeństwa i wybuchnęła gorzkim płaczem. Brett usiłował uspokoić ją, używając wszelkich słów, jakie mu dyktowała gorąca miłość, ale wszelkie wysiłki były daremne.

— Ach, Duncanie, Duncanie! najmniejszej nadziei nigdzie nie widzę. W przyszłym tygodniu zaczyna się rozprawa sądowa, a ty nic jeszcze nie osiągnąłeś twoimi staraniami. Wszystko, co możemy przytoczyć w obronie Jerzego, wobec sądu nie ma żadnego znaczenia.

— Droga Mabel, uspokój się, bądź znowu dzielną moją towarzyszką, tak jak dotychczas nią byłaś. Czy mamy teraz rezygnować, opuścić bezsilnie ręce, gdyśmy już dokładnie zbadali życie tej kobiety, wykryli jej prawdziwe nazwisko, poznali jej rodzinę i rozjaśnili historyę wszystkich przejść, jakie ją spotkały od chwili, gdy dom opuściła. Każda chwila może teraz przynieść wyjaśnienia, które dopomogą nam do wykrycia mordercy. Chodź, drogie dziecko! Zrozum, że potrzebuję całej siły duchowej, aby spełnić trudne me zadanie i wprost żyć nie potrafię, gdy widzę, jak ty tem się dręczysz.

Mabel wysiłkiem woli opanowała łkanie i otarła łzy.

— Masz racyę, Duncanie, było to niesprawiedliwe z mej strony, wielkim egoizmem. Chcę być odważną!

Skinęła mu przyjaźnie głową, ale bolesny jej uśmiech ukłuł go w serce.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Przed nowym sezonem w teatrze im. Słowackiego w Krakowie: Zofia Białkowska.

Przed nowym sezonem w teatrze im. Słowackiego w Krakowie.

Rozpoczynamy nowy sezon teatralny, na który każdy dotychczas patrzał z obawą naprawdę, nie wyobrażając sobie jego losów wobec zupełnego braku sił aktorskich, które dzięki dyletanckiej i pod słabym kątem patrzącej gospodarce miejskiej, teatr utracił. Nadzieja jednak poczyna znowu świtać. Za biegliwości bowiem dyr. T. Trzcińskiego udało się pozyskać bogaty i wiele obiecujący materyał artystyczny. Wspomnijmy o takich nazwiskach, jak p. Zofia Białkowska z teatru Polskiego w Warszawie, Marya Hryniewiczówna z warszawskiego Teatru Rozmaitości, Halina Kacicka z teatru Studio w Moskwie i z Teatru Polskiego w Warszawie, Zofia Marjewska Dobrzańska i p. Guttner Jan i Nowacki Janusz z Teatru Powszechnego w Warszawie, Ziembiński Władysław z Teatru Polskiego w Warszawie i Julian Dobrzański, a nie będziemy się obawiać o skład obecnego teatru krakowskiego.

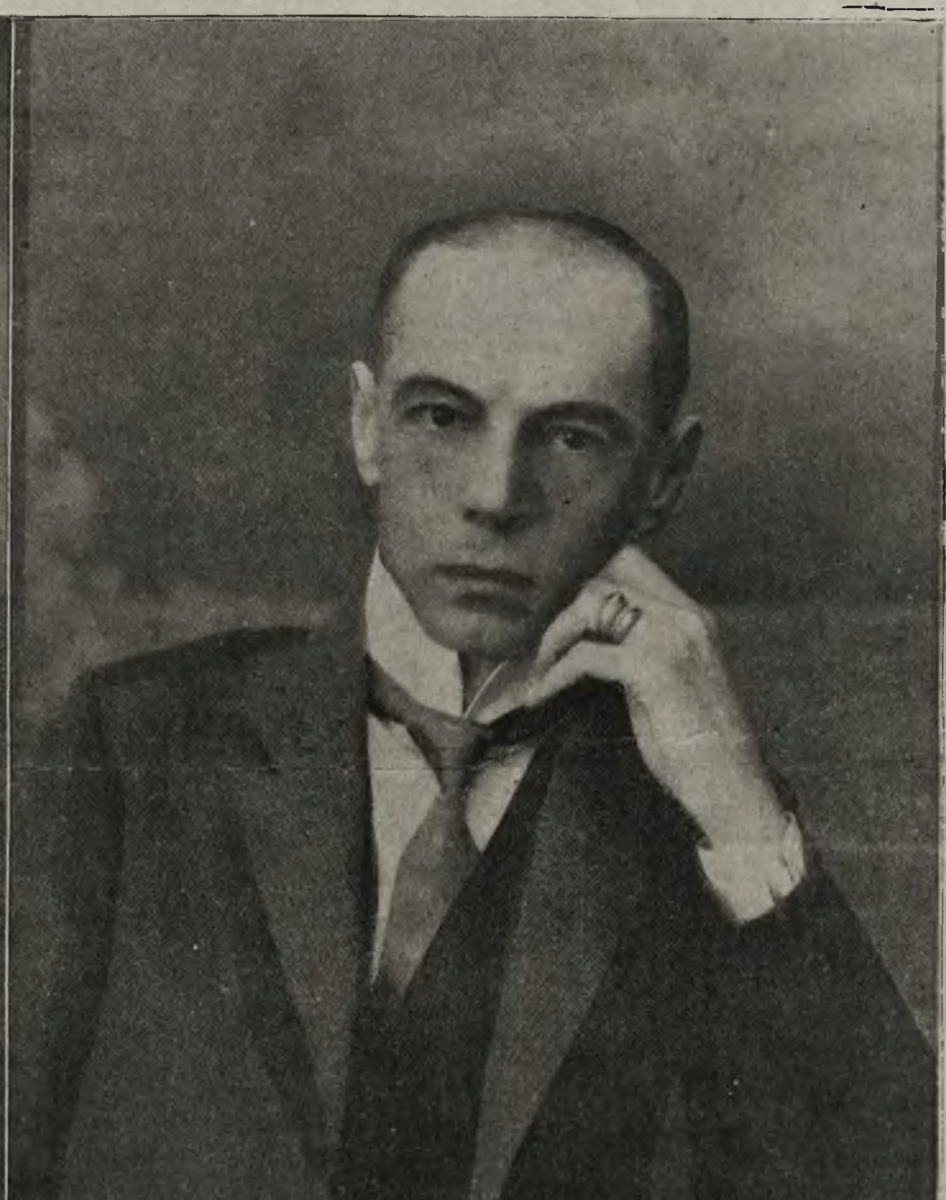
Ale nasuwa się inna troska, mianowice o repertuar teatralny. Bilans ubiegłego roku wypadł nie tak, jak powinien. W rezultacie okazało się, że nasza pierwsza scena poza kilkoma arcydziełami była bardzo gorliwą opiekunką młodych autorów. Należy cenić gorącą chęć dyrekcyi popierania rodzimego repertuaru, ale nie należy przez to rozumieć popularyzowania słabych utworów. A przecie nasz dramat może się pochwalić wcale bogatym dorobkiem; nie musi się wystawiać jedynie sztuk nowych, ale z całą śmiałością można powtarzać i dawne, które jak pierwej, cieszyły się ogromnem powodzeniem, z pewnością i obecnie będą „robiły kasę" (o to stara się jedynie miejska rada, więc w ten sposób i ją się zadowoli). Zwróćmy uwagę na Zapolską naprzykład, która rozszerzając krąg za kręgiem obserwacye, a równocześnie dając szeroki zakres środków twórczych, kipiących życiem i temperamentem, stwarza przez to rzeczy dające silne wrażenie (Małka Schwarzenkopf, Jojne Firułkes, i wielu innych). Za dyrekcyi Siedleckiego epizodycznie (zaledwie z końcem sezonu) wystawiono „Karykatury" Kisielewskiego, zapomniano o „W sieci". Dlaczego tak mało zwraca się uwagi na tego grającego na nerwach, Przybyszewskiego? (Złote runo, Matka, Dla szczęścia, Goście, Snieg). Skoro nie chcemy grania na nerwach, możemy zwrócić się do naszych romantyków jak Słowacki (naprawdę upośledzony, chociaż popierał go gorąco Pawlikowski i Kotarbiński) prochy już pokryły wspaniałe i ogromnie efektowne dramaty Żuławskiego (Eros i Psyche, Ijola choćby), jakoś nie może wejść na scenę Trylogia Rydla. A mamy jeszcze dramat Feldmanna i tylu innych, jak Kaweckiego (Szkoła), Rittnera (jest jeszcze dużo jego rzeczy nowych) Gorczyńskiego, Perzyńskiego, Staffa, Kasprowicza, z komedyi Bałuckiego, Nowaczyńskiego, Blizińskiego. Również nie należy zapominać o dramacie obcym, o którym pamięta się jedynie przez lekkie komedyjki francuskie, odsuwając na bok Maeterlincka i Ibsena. Nie można narzekać na brak odpowiednich sił, bo przecie mieliśmy taką wspaniałą interpretowkę Żuławskiego, jak, p. Solska i tej miary artystę dramatycznego jak p. Sosnowski. Trzeba tylko dobrych chęci, bo przecie one pokonują wszelkie możliwe przeszkody. Powinniśmy na repertuar zwrócić dużą uwagę, mając to na myśli, że teatr krakowski reprezentuje obok lwowskiego i warszawskiego teatr polski. Mamy nadzieję, że dyr. Trzciński pchnie w tym sezonie teatr na nowe tory i postawi go na wyżynie artystycznej, na jakiej stał za czasów Pawlikowskiego.

Przy doborze sił, jakie na obecny sezon pozyskał i wyborze sztuk, spełni to zadanie z pewnością wytrawny dyrektor pierwszej sceny krakowskiej, utrzymując ją na wyżynie artystycznej.



Przed nowym sezonem w teatrze im. Słowackiego w Krakowie: Marya Hryniewiczówna.





Zofia Marjewska-Dobrzańska. **Przed nowym sezonem w teatrze im. Słowackiego w Krakowie:** Julian Dobrzański.



Przed nowym sezonem w teatrze im. Słowackiego w Krakowie: Halina Kacicka.

Ze świata.

Podczas święta zwycięstwa we Francyi były również wojska algierskie, dla których wydano śniadanie. Wojna zgromadziła cały świat we Francyi, to też dziś ten cały świat łączy się w wspólnej radości, że położone trudy nie spełzły na niczem, ale owszem odniosły wspaniałe wyniki, które mogą i zapewne przyczynią się w dużej mierze do szczęścia wszystkich. Dla algierskich zwycięsców podano na śniadanie upieczone w całości barany, jak to wymaga stary zwyczaj arabski. Oczywiście nastrój ucztujących był odpowiednio uroczysty. Tak każdy na swój sposób okazuje swoją radość, jakkolwiek może przedwczesną, jeżeli nie będziemy na bieg wypadków patrzeć krótkowzroczne i nie powiemy sobie, że ograniczona miarą swej ekspanzyi polityka może i gdy tak dalej pójdzie, musi przekreślić rezultaty pięcioletniej wojny. Oby odruch samoobrony przeciwko dyktaturze koalicyjnej nie zmusił do powołania znowu do nowej służby, ale teraz już tylko w obronie Anglii i celem zwalczenia sprawiedliwości, która śmie domagać się swoich praw.

* * *

Wojna i obecny nastrój zmusza do zainteresowania się wojskiem wszystkich, od najmniejszych do największych. Podajemy illustracye przedstawiające książąt hiszpańskich, których oficerowie zaznajamiają z ciężkiemi działami i kierownictwem tanków.

Wogóle ze wszystkich państw zaprzyjaźnionych przybywają do Francyi wycieczki, by zobaczyć „narzędzia“, któremi pogromiono Niemców.

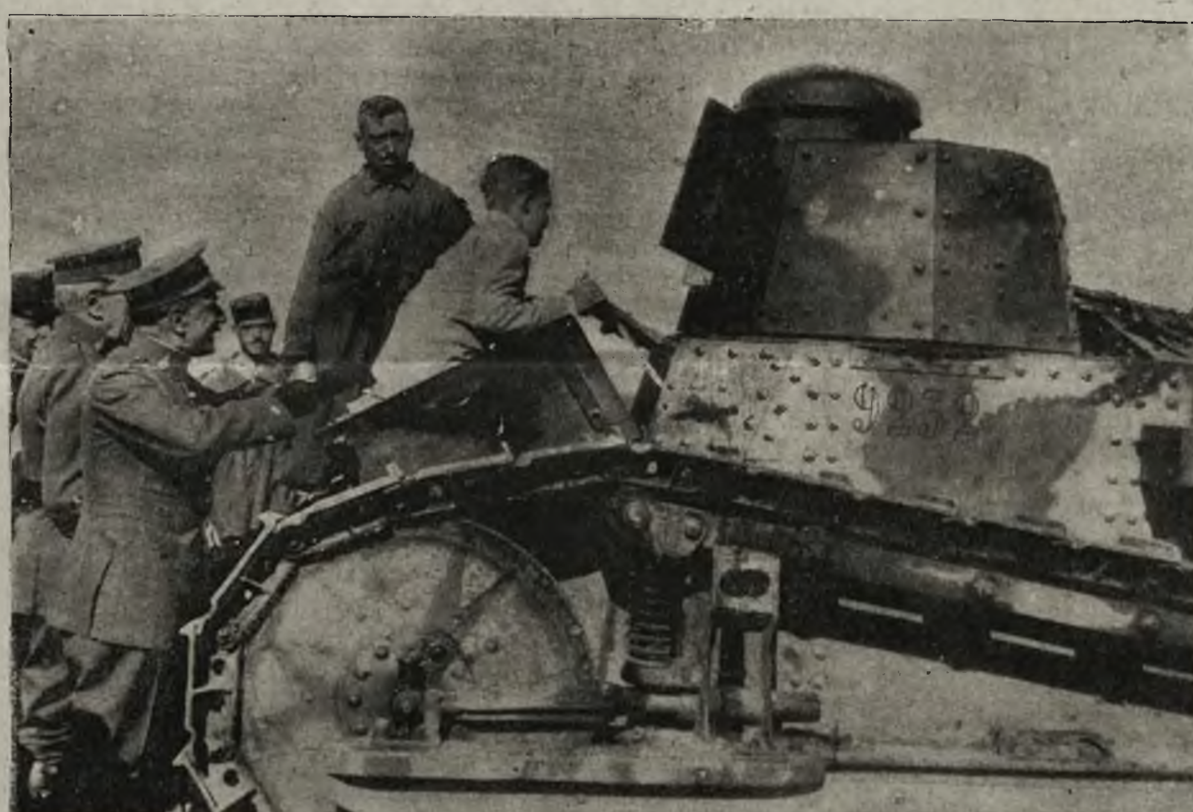


Dzielny kapelan: Ks. Fr. Tyczkówski kapelan pułku kowieńskiego.

Dzielny kapelan.

Znaną jest patryotyczna i ofiarna rola księży polskich w naszem wojsku. Mając szerokie i miłe pole do działania niejednokrotnie są oni w chwilach ciężkich tą dobrą i serdeczną ręką. Tu już pozostaje jedyny cel przed oczami pracy dla Ojczyzny przez dobre, żywe słowo, a praca ta płynąc wieloma łożyskami osiąga szerokie i wspaniałe owoce. Wyrabia się ta złota wspólnota, która powinna cementem spajać wszystkie siły.

Przykładem służy kapelan kowieńskiego pułku ks. Franciszek Tyczkowski swoją pełną ofiary służbą dla sprawy polskiej. Wychodząc z założenia, że dla regularnego posta wienia życia potrzebnem jest wytworzenie wspólnego punktu oparcia tego życia, założył w Nowogródku gospodę żołnierską. Tu żołnierze schodząc się i podzielając wzajemnie myśli, łączą się węzłem koleżeństwa i braterstwa, a przecie o to tak musi się starać tam wobec wroga i jego niszczycielskich wpływów.



Ze świata: Książęta hiszpańscy oglądają czołg.

Bo też front wschodni to ważna i wielce odpowiedzialna placówka, tembardziej, że ma się do czynienia z wrogiem, który mając daleki zakres swego pseudoideowego działania nie przebiera w środkach, ale idzie krok za krokiem, czy ogniem i mieczem, czy lisią, podziemną robotą. Dlatego może najwięcej potrzebną jest tam zwarta organizacya sił, aby ten sposób stworzyć silny i trwały mur oporny za wszelką cenę, przeciwko każdej możliwej agitacyi.

Dzielna armia, jaką posiadamy, ma dzielnych kapelanów, którzy walcząc ze spaczeniem zasad, umacniają umysły młodych żołnierzy i wychowują naszych chłopców na prawdziwych obrońców Ojczyzny, którzy z wiarą w sercu idą w bój o święte prawa Polski.

Wyćwiczona armia polska i podniesiona na duchu — odnosi obecnie wspaniałe zwycięstwa na naszych wrogach, wypędzając ich z kresów Rzeczypospolitej.

Oswobodziliśmy cały szmat dawnych ziem Rzeczypospolitej i to jedynie dzięki karności, bitności i zdrowego ducha naszych żołnierzy, którzy mają na oku dobro Ojczyzny i za nią krew przelewają, jako dobrzy synowie Polski.



Algierczycy niosą na ucztę upieczonego barana.



Ze świata: Przy ciężkim dziale.

Marya Toczyska Segeny.

BEZ STERU

Powieść.

5

— Isiu! daj książkę — odezwała się Janka, siadając przy stole.

Długą chwilę Isia szukała czegoś na pułce stojącej w rogu pokoju, w końcu ociągając się i ziewając, podeszła i rzuciła na stół wybraną książkę.

— Co masz zadane?

— A cały ten kawał o zwierzętach domowych. Ładny kram, co?

— Wypisz sobie słówka.

Za im się znalazł zeszyt i pióro, upłynęło dobrych kilka minut. Nareszcie usadowiła się na krześle i nucąc po cichu jakiś wyjątek z operetki, pisać zaczęła.

— Pies — le chien, kot — le chat. Janka! Janka!

— Co znowu? — odezwała się Janka od gazety. — Pisz.

— Moja ty złota! — przymilała się Isia. — Czy karakon należy do zwierząt domowych?

Janka uśmiechnęła się mimowoli.

— Jaka ty jeszcze dziecinna Isiu — rzekła z wymówką.

— No, no, już piszę, byle prędzej skończyć! Krowa — la vache! Janka, dlaczego tatko nazywa tę doktorową, co z mamą „robi w dobroczynności", dojną krową, nie wiesz?

— Nie nudź mnie!

— Dobrze, dobrze! Osioł — l'âne. Ciekawa jestem, dlaczego mówi się, głupi jak osioł. Czy dlatego, że uparty? Charakter ma! Mama by się o nim wyraziła, że to „indywidualna jednostka". — Trzepała dalej Isia, nie zrażona wcale milczeniem Janki.

Przez dłuższą chwilę cisza zaległa jadalnię. W podwórzu rozjęczał się monotonny, chrypliwy głos „handełesa", przedrzeźniany przez bawiące się dzieci, przez sufit, z pierwszego piętra spływały znowu uparte dźwięki gam mozolnie studyowanych na rozstrojonym fortepianie. Zresztą dosyć cicho było w całej kamienicy, która zdaje się, zapadała już w codzienną poobiednią drzemkę.

— Czy ty myślisz, Janka, że tatko poszedł do biura — przerwał ciszę głos Isi. — Właśnie! Siedziałby w zatęchłem biurze na taki czas! Co ty znowu robisz? Wzięłaś się do malowania pudełek?

Podniosła głowę z nad książki i spojrzała w stronę Janki.

— A nie! Poprawiasz gorliwie zaślimaczone zeszyty twoich uczenic. Słuchajno, czy ci to sprawia przyjemność? Czy i z ciebie już zrobiła się „wściekniętą społeczniczka".

— Kiedy chodzi o obowiązek, to się zapomina o przyjemności — odparła Janka.

— Masz tobie — skrzywiła się Isia. W tym domu to tylko o obowiązkach mówią.

— Proszę cię Isiu, kończ już to wypisywanie. Wiesz przecież, że wyjść mamy.

— Już, już, tylko jeszcze ten kawałek!

Sięgnęła zamaszyście do kałamarza i przez parę minut słychać było tylko można szelest odwracanych kartek i skrzyp pióra po zeszycie.

— Janka! słuchajno! Janka!

Przerwała pisanie i wpatrzyła się w siostrę zdziwionemi oczami.

— Dlaczego ty właściwie za mąż nie wychodzisz, co? Na pensyi to mówią, że już czas na ciebie! Nie raczysz odpowiadać! Dobrze! I to się zniesie!...

Ale nie zdążyła już powrócić do przerwanej pracy. Za ścianą rozległ się śpiew. Silny głos męski wpadł do cichego mieszkania, wnosząc ze sobą coś nowego, innego, nęcącego odmiennością nastroju.

Po twarzy Janki przebiegł skurcz nerwowy. Odłożyła zeszyty i wpatrzyła się przed siebie, zasłuchana, odrętwiała, zatracając świadomość gdzie jest i co się z nią dzieje.

Po chwili śpiew ustał, ale Janka tego nie zauważyła, zdając się jeszcze chłonąć w siebie ostatnie, zamierające tony.

Isia pod wrażeniem, które i na jej niesforną naturę silnie podziałać musiało, wstała cicho i podeszła do siostry.

— Janka! — szepnęła miękkim, serdecznym głosem. To pan Jerzy śpiewał! Prawda, jak ładnie.

I nagle pochyliła się do Janki, obejmując ją ramieniem.

— Czy ty go kochasz? powiedz! kochasz Moja ty powiedz!

Ale Janka zdołała się już otrząsnąć z uroku. Odsunęła lekko Isię od siebie i rzekła obojętnie.

— Rzeczywiście, on ma wcale ładny głos. Przerwał nam robotę. No, Isiu dokończ te słówka i idź się ubierać.

Zachowanie Janki dziwnie podziałało na Isię. Zesztywniała nagle i dawny, drwiący uśmiech skrzywił jej usta.

— A tak, pan Jerzy wcale możliwie śpiewa! — ziewnęła szeroko, pokazując dwa rzędy, białych, równych zębów. — Mógłby się zaangażować do opery zamiast malować szkaradzieństwa, których nikt kupić nie chce.

Janka zmilczała tę uwagę i wyszła do nyży przebrać się.

W godzinę później, szły od miasta w stronę błoń. Isia była nadąsana i zła. Materye oglądane w kilku sklepach okazały się za drogie i trzeba było zaczekać jeszcze czas jakiś na możność kupienia choćby najtańszej. Janka zaś znowu przybita była i upokorzona ironicznymi uśmiechami panien sklepowych, które wysubtelnioną w tym kierunku intuicyą kobiecą, odgadły w nich gości muszących się liczyć z centem i złośliwie dały im to odczuć.

Nawet urok wiosennego wieczoru, który schodził w przepychu zachodzącego słońca na miasto i ciepłymi, liliowymi tonami malował szare mury kamienic, wkradając się ciszą i wypoczynkiem w ożywione jeszcze i gwarne ulice, niezdołał skierować ich myśli w inną stronę i natchnąć je pogodą i nadzieją do lepszych, jasnych dni.

Weszły do parku i usiadły na jednej z bardziej oddalonych ławeczek, jak najdalej od ludzi.

Isia z zawiścią i buntem patrzała na inne dziewczęta wyświeżone i rozbawione, rzucając od czasu do czasu złośliwe, ironiczne uwagi. W rozżaleniu swojem złość swoją przelewała na Jankę, czyniąc ją winną za doznaną przykrość i zawód.

Janka odczuła ten stan Isi i ze zwykłą łagodnością, chciała ją rozerwać, rozruszać, zająć jej myśli innym przedmiotem, wspomniała nawet o Zagajnikach, ale to przypomnienie spotęgowało tylko jej podniecenie.

— Jest też o czem mówić — wybuchnęła — i czem się chwalić. Żeby nie rodzice, siedzielibyśmy tam jeszcze i nie potrzebowali się męczyć w tym Krakowie.

Janka zamilkła więc i siedziały długą chwilę nic nie mówiąc do siebie.

Tymczasem słońce zachodziło już coraz niżej i tylko wierzchołki wyższych drzew złociły się, powiewając lekko, jak żagwie ogniste, kiedy u stóp ich już cienie nocy się czaiły, czekając rychło wyjdą będą mogły z ukrycia na przestrzeń szerszą.

Park pustoszał. Gdzieniegdzie tylko jeszcze przesunęła się jakaś postać, lub rozbiegło się donośne echo radosnego śmiechu.

Cisza i spokój wiszący w powietrzu, kojąco działały na Jankę. Twarda troska życia codziennego zeszła z jej czoła, jakaś łagodna zaduma owionęła ją całą i pogłębiła delikatnie wyraz jej ciemnych oczów. I żywiej zabiło serce rwąc się do jakichś obrazów dalekich, migocących na zmartwychwstałem tle nadziei i przeczuć niejasnych, rozwarła się szerzej dusza, chcąc rozluźnić zimne więzy obowiązków, narzuconych przemocą biegiem bezwzględnego losu...

Żywy okrzyk Isi wywołał Janke z zamyślenia. Spojrzała w kierunku gdzie siostra pobiegła i twarz jej zajaśniała radością.

Isia prowadziła do ławki, wysokiego, przystojnego mężczyznę, który z życzliwym uśmiechem, odpowiadał na jej bezładne zapytania i zaczepki.

— Janka! Janka! — wołała rozbawiona i wesoła, bez śladu niedawnego żalu na twarzy! — Pan Jerzy! Dobre miał przeczucie, co? Nie będziemy już dłużej siedziały jak dwie zabalsamowane mumie egipskie.

— To się panie tak nudziły? — zapytał dźwięcznym głosem przybyły, witając się z Janką.

— Janka marzyła o niebieskich migdałach, ja zaś, wściekałam się z nudów — uprzedziła Isia odpowiedź siostry.

Jerzy Leszczyc przedstawiał typ człowieka zrównoważonego i energicznego, wiedzącego jasno do czego dąży i nie ulegającego żadnym ubocznym wpływom.

Mieszkał już od paru miesięcy u Boguckich, którzy nie czuli do niego wielkiej sympatyi. Bogucki odzywał się o nim z lekceważeniem i pogardą.

— Cóż taki malarzyna - mówił — w biedzie wyrósł i w biedzie umrze, Pejzażami ani siebie ani rodziny nie wyżywi. Lepiejby się wziął do czego innego.

Leszczyc był wyjątkowo zdolny i zapowiadał się dobrze na przyszłość. Miał zamiar wyjechać za granicę i tam dobić się sławy, którejby prędko w kraju nie zyskał. Tymczasem żył z niewielkich dochodów dzierżawy, którą utrzymywała matka, wdowa po plenipotencie dóbr i nielicznych obrazów zbywanych z trudem pomiędzy znajomymi. Janka od pierwszej chwili poznania uczyniła na nim głębsze wrażenie, które zamieniło się wkrótce w uczucie głębokie i poważne. Widząc jednak niechęć Boguckich, coraz rzadziej zaczął bywać w ich domu, niechcąc dopuścić do żywszych jakich nieporozumień i zaczął gorączkowo myśleć o zdobyciu pewniejszego stanowiska, któreby mu pozwoliło dojść do upragnionego celu.

Starania te prędzej, niż przypuszczał, przyniosły pożądany skutek. Właśnie przed kilkoma dniami dostał formalne przyrzeczenie posady profesora rysunków na bardzo dobrych warunkach do jednej z prywatnych szkół w Wiedniu i zamierzał opuścić Kraków w najbliższym czasie.

— Szczęśliwie się złożyło, że mogłem panią tu spotkać — zwrócił się Jerzy po chwili do Janki. — Wybierałem się właśnie dziś do państwa z zawiadomieniem, że pokój, który zajmuję, będzie wolnym od pierwszego, bo mam zamiar wyjechać.

Wiadomość ta, nieoczekiwana, była dla Janki bardzo przykrą. Nie chciała jednak się zdradzić przed przenikliwością Isi, patrzącej na nią podejrzliwym wzrokiem

Podniosła tylko pytający wzrok na Jerzego i tyle w nim było szczerego bólu i zdumienia, że głęboki cień wzruszenia przemknął po jego twarzy i zgasił blask oczu.

Usiadł na ławce i zamyślił się.

— Czy pani nie będzie dziś u pani Anny? — zapytał po chwili.

— Nie — odparła Janka bezdźwięcznym głosem. — Już późno się robi, musimy wracać do domu. Rodzice czekać będą.

— Szkoda — westchnął Leszczyc. — Chciałem z panią szczerzej i poufniej pomówić, a sposobności teraz tak mało, odkąd przestałem bywać u państwa.

— Co do tego, to sobie pan sam winien — wtrąciła się żywo Isia. — Ale dlaczego nie powiecie odrazu, że wam przeszkadzam. Rozumię dobrze! Mam się stracić panno siostro, prawda? No, widzisz, grasz ze mną rolę starszej, a lepiej by było mnie wtajemniczyć we wszystko!

— Nie rozumiem cię Isiu! — szepnęła z trudem Janka.

— Ej! czego udajesz znowu! — żachnęła się. — Widzisz, ja jestem bardzo wyrozumiała na podobne „komplikacye sercowe". Już mnie niema! Obiegnę kilka razy park dookoła, może i mnie wydarzy się coś ciekawego, a przez ten czas wygadacie się dowoli. Moje uszanowanie państwu!

I zanim Janka ją zatrzymać mogła, już zniknęła na skręcie ścieżki, śmiejąc się głośno.

— Janko! — szepnął Jerzy miękkim głosem, kiedy pozostali sami. — Czy pozwalasz mi pomówić ze sobą otwarcie? Tak dawno już pragnąłem wyjaśnić naszą obecną sytuacyę.

Janka nie była zdolna słowa wymówić. Jakiś ciężar spadł jej nagle na piersi i tamował oddech. Przeczuwała mimowoli, że to, co usłyszy teraz, stanowić może o całej jej przyszłości i zaważyć na nadziejach jej życia, a przecież tej chwili za nic w świecie odwlecby nie chciała.

Skinęła tylko głową, w niespokojnem oczekiwaniu nie patrząc w stronę Leszczyca.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Angielski dzień tryumfu: Defilada marynarzy angielskich. (Z L'Illustration).

Angielski dzień tryumfu.

Podobnie jak cały świat i Anglia obchodziła uroczyście dzień zwycięstwa. Może ona powinna największą radość okazywać. Bo też obecna wojna była dla niej tryumfalnym pochodem, choć najczęściej jedynie dyplomacyą, do której ma szczególne upodobanie, czego wcale nie należy ganić (oczywiście patrząc na to przez pryzmat zapatrywań wykluczających etykę, jako w polityce nieracyonalną) jeżeli się tylko doda, że przecie Anglia ma dzisiaj w rękach hegemonię całej Europy, kolonizując każde nowopowstałe i już dawno powstałe państwo, dyktując swoje ultimatum, każdemu, kto chce, czy nie chce słuchać, jest obecnie najpotężniejszem państwem. Czy to nie jest wspaniałem zwycięstwem i wspaniałą polityką, tylko... ej zawsze to tylko. Może i zapewne z tryumfu Anglii najwięcej cieszą się Niemcy, bo przecie tylko tą drogą pozyskali tak mocnych poplecznIków swoich zbrodni, sankcyonujących swoim wpływem i powagą to, co Niemcy dla świata swoją dobroczynną ręką zdziałały. Dziś swego niedawnego wroga Anglia całą siłą popiera, naprawdę... Bo też ufa, że może mieć na każdym kroku rozsądnego i nie wahającego się przed niczem sprzymierzeńca.

Dziś każdy cieszy się ze zwycięstwa, bo ono stworzyło nowy stan rzeczy, przeobrażający choć w pewnym zakresie lepszych stosunków Europę, ale trudno cieszyć się ze stanowiska, na jakie wojna postawiła Anglię. Dążymy bowiem do powszechnej równowagi, a tej równowagi nie ma, bo Anglia jej nie chce za żadną cenę. Ale cieszyć jej się ze zwycięstwa wolno, a cieszyć musi się całą piersią.

Wojna wytwarza nowy porządek, nowe stosunki i stanowiska. Może u nas obecnie o tem musi się inaczej mówić. Bo też my jesteśmy w obecnej chwili w tem położeniu, że każdy ton w polityce światowej siłą konieczności martwą, a tą drogą często i brutalną odzywa się tysiąckrotnem echem. Chcemy jednak żyć w zgodzie ze wszystkimi, co więcej trzeba nam najwięcej przyjaciół koło siebie gromadzić, a przedewszystkiem potężnem dla nas oparciem byłaby Anglia. Może racya stanu dziś Anglii każe mówić inaczej, to jednak gdy ona się cieszy my także się cieszmy i czekajmy, z Anglią bowiem będzie nas łączył splot interesów zapomocą handlu morskiego.



Angielski dzień tryumfu: Defilada zwycięskich wojsk na ulicach Londynu. (Z L'Illustration.

Kronika tygodniowa.

W naszym kochanym Krakowie panuje już najzupełniejszy spokój, ale nie z tego powodu, jakoby się może stosunki gruntownie poprawiły. Jest zupełnie tak, jak było przed dwoma tygodniami i przed tygodniem, a nie należy tracić nadziei, że zupełnie tak samo będzie za tydzień i za dwa tygodnie, z tą chyba różnicą, że ceny się znów podniosą.

Nawet pogoda nie chce się zmienić, a deszcz jak kapał, tak kapie. Dzięki Bogu, że nie mamy w Warszawie ministra od pogody i temperatury, coś w guście pana Ko-ko ze znanej operetki „Mikado". Byłoby na kogo złożyć odpowiedzialność, że tak po macoszemu obchodzi się z Małopolską, gdyż w innych dzielnicach jest pod tym względem podobno daleko lepiej. Deszcz pada tam, ale tylko wtedy, gdy potrzebny i w miarę.

U nas zaczęto tu i ówdzie przebąkiwać, że Pan Bóg zgniewał się na świat za jego łajdactwa i chce go zniszczyć drugiem wydaniem potopu, nic też w tem dziwnego, że znaleźli się strachajłowie, którzy chcąc siebie, rodziny i dobytek ratować od pewnej zagłady, postanowili pójść w ślady praojca Noego i zbudować sobie arki, w które mogliby zabrać wszelkiego stworzenia po parze.

Dłoń pomocną miała podać „Żegluga polska", ale ona okazała się w tym kierunku niekompetentną, gdyż potop ów, jaki będzie, ma być nie wyłącznie polskim (z uwzględnieniem naturalnie praw mniejszości narodowych!...), ale międzynarodowym, tak, jak nasza dotąd Wisła, w której teraz nawet Chińczyk może się swobodnie kąpać i łapać ryby, o ile naturalnie nie jest zwolennikiem metody amerykańskiego doktora Page, który twierdzi, że kąpiele skracają życie.

Swoją drogą lekarz ów ma racyę (dziś ją ma każdy Amerykanin!...). Sam znałom ongi pewnego jegomościa, który dziś nie żyje tylko dlatego, że się utopił podczas kąpieli. Biedak!... Gdyby w owym czasie znane były teorye dra Page, z pewnością żyłby do dnia dzisiejszego na chwałę Pana Boga i pożytek bliźnich.

Ale, co się tyczy owej arki, pokazało się, też że z budową jej nie tak łatwo, jak kto może sądzi. Po pierwsze, trzeba mieć materyał do budowy, a tu nie wiadomo, który urząd ma wydać pozwolenie na zakupno, po drugie, chcąc wywieźć stąd „wszelkiego stworzenia po parze", należy się najpierw postarać o pozwolenie na wywóz, a tu tymczasem odnośną instytucyę przeniesiono do Warszawy, aby krakowskim spekulentom i paskarzom utrudnić robienie brudnej konkurencyi swym warszawskim kolegom.

Zresztą, chcąc zakupić pewną ilość soli w Wieliczce lub Bochni, trzeba się starać aż w Warszawie o pozwolenie, ciekawa więc rzecz, dlaczego ta sama metoda nie ma być zastosowaną przy ubieganiu się o certyfikat wywozu lub przywozu?

W ostatnim czasie zniesiono podobno owo zarządzenie i Urząd wywozu i przywozu towarów pozostawiono nadal w Krakowie, ale, na jak długo, tego nikt przewidzieć nie może, dotąd bowiem w Warszawie rządzą ludzie o domowem wykształceniu, można się więc spodziewać różnych niespodzianek.

Miejmy jednak nadzieję, że się obejdzie bez nowego potopu, a materyał, który ktoś zbiera na sklecenie arki obróci na budowę bodaj nędznej chałupiny, a zrobi na tem prawdziwie kokosowy interes. Mieszkań w Krakowie zupełny brak, jak się o tem przekonujemy z ogłoszeń w dziennikach: „Dam tysiąc koron lub pudełko papierosów egipskich przedwojennych za wyszukanie mieszkania, składającego się z dwu pokoi, kuchni i t. d.", albo „Ożenię się z panną lub wdową, która odnajmie mi pokój kawalerski".

A dlaczego w Krakowie taki brak mieszkań?... zapyta kto może. Dlatego, ponieważ siedzi tu bardzo wiele osób takich, które dawno już powinny były opuścić nasze mury i wybrać się do *Vaterlandu*, nad modry Dunaj lub srebrną Wełtawę. Ale dlaczego mają stąd jechać, skoro im tu bardzo dobrze i nikt ich stąd nie pędzi, owszem, na każdym kroku okazuje się im nadzwyczajne względy, aby przypadkiem nie narzekały, że jesteśmy narodem niekulturalnym.

Traktat o mniejszościach narodowych dopiero teraz ujrzał światło dzienne, w Polsce był zaś od wieków stosowanym. Wszelkiego rodzaju mniejszości narodowe nie tylko cieszyły się u nas zawsze pełnią praw obywatelskich, ale poprostu wodziły nas stale za nos, a my znosiliśmy to bez szemrania.

Z owego traktatu skorzystamy bodaj tyle, iż będziemy mogli żądać, aby i nas gdzieindziej traktowano jak ludzi, a nie uważano za jakąś *niederwertige Nation*.

Choć, prawdę rzekłszy, nikt na tem nie straci, gdyby ci obcy przybysze, którzy nas tak pokochali, że nie mogą się z nami rozstać, wybrali się stąd za siódmą górę i rzekę (w stronę Wiednia rzeki są, ale gór niema!... Będą mieć o tyle łatwiejszą podróż!... przyp. zecera). Z pewnością nikt po nich nie zapłacze, a każdy pożegna ich z serca płynącem życzeniem „szczęśliwej drogi".

Teraz czas, abyśmy się zabrali sami do pracy nad swem odrodzeniem, bez ich łaskawej pomocy, która, wiemy, jak wygląda!

Po ich wyjeździe i mieszkań będzie więcej i będzie więcej do jedzenia i, co najważniejsze, oczyści się powietrze, a my pozbędziemy się żmiji, wyhodowanej lekkomyślnie na własnem swem łonie.

Po inne lata był kronikarz w tym ogórkowym okresie w kłopocie, o czem pisać, gdyż brakło materyału. Dziś jest zupełnie inaczej. Sezonu ogórkowego dotąd niema (ogórki, dzięki niepogodzie, należą do rzadkości i specyałów dostępnych chyba dla paskarzy...), zaś materyału kronikarskiego jest taka moc, że sam człowiek nie wie, z której zacząć beczki. A każdy i ciekawy i aktualny, że aż się prosi, aby go wziąć na papier.

Kończą się wakacye, im też trzeba dać pierwszeństwo i poświęcić im słów kilka. Tym, którzy wyjechali z Krakowa na świeże powietrze, dały się porządnie we znaki, bo chyba nie należy do przyjemności siedzieć przez cały dzień w dusznej izbie w jakiejś tam Koziej Wólce i toczyć wojnę z muchami, które, idąc w ślady swych gospodarzy, rade byłyby zjeść żywcem każdego mieszczucha. Gdyby bodaj aprowizacya była lepsza, to jeszcze pół biedy, niestety, jest inaczej. Dawny włościanin, tak przez niektórych i niektóre wyidealizowany, uważa się już dziś za obszarnika i ani mu w głowie staranie się o to, aby inni mieli co jeść. Jemu wystarczy zupełnie, jeśli sam będzie miał czem głód zaspokoić.

I ci, którzy w mieście zostali, bardzo nie użyli i oni przeklinają tegoroczną pogodę, jakiej nie pamiętają najstarsi ludzie. Błota mieliśmy dużo i w Krakowie. Aby na niem „użyć", nie było trzeba wybierać się nawet poza planty.

Co do warunków aprowizacyjnych, wieś i miasto mogą sobie podali rękę. I tu i tam daje się odczuwać brak tego i owego artykułu, na wsi jedynie świeżego powietrza nie brakuje.

Ruch wakacyjny widoczny też jest w Krakowie. Od hotelu do hotelu ciągną całe pielgrzymki przyjezdnych, szukających bodaj na noc kawałka dachu nad głową. Ale trudno go znaleźć. Jest się skazanym na spędzenie nocy na plantach, lub zdanym na łaskę i niełaskę prywatnych o szlachetnem sercu przedsiębiorców, którzy wynajmują u siebie łóżka tylko po... dwadzieścia koron od osoby za noc, a nie mają nic przeciw temu, choć trzy osoby wpakują się do jednego łóżka, byle tylko każda z nich z osobna „taksę" zapłaciła.

A kto temu winien, że brak w Krakowie mieszkań dla przejezdnych? ... Magistrat!...

Przed niedawnym czasem wydał wydział trzeci magistratu krakowskiego rozporządzenie, na mocy którego nie wolno nikomu dłużej mieszkać w hotelu jak dziesęć dni. Było to zasadniczo bardzo racyonalne ze względu na wzmożony ruch przejezdnych, ale, jak zwykle, pozostało tylko na papierze i w sferze pobożnych życzeń. Właściciele i portyerzy hoteli (ci drudzy mają daleko większe znaczenie i decydują bez apelacyi!...) nie wzięli go sobie zbyt do serca.

Ba!... Ale cóż się dzieje?... Ten sam magistrat, który wziął przejezdnych w obronę, przez inny znów wydział lwią część hoteli na czas nieograniczony zajął na kwatery wojskowe, tak, jak gdyby o lokale na nie nie można się było postarać gdzieindziej.

Są mieszkania, składające się z czterech i więcej pokoi i mogłyby bardzo łatwo odstąpić część na pomieszczenie wojska, ale trudno to przeprowadzić, jeżeli mieszkanie należy do pana radcy, jego krewnego lub znajomego.

Zupełnie taki sam brak mieszkań w Zakopanem, Rabce, Krynicy, Szczawnicy itd. Za nędzne nory płaci się tysiące. Patrząc na to, przychodzi się do przekonania, że liczba ludzi skutkiem wojny bynajmniej nie spadła, owszem, podniosła się, co jest objawem bardzo pocieszającym, ze względu na siłę podatkową państwa.

Natomiast zasługuje magistrat na pochwałę, a to ze względu na spełnienie obietnicy i puszczenia w obieg magistrackich bonów jednokoronowych, które ładne wprawdzie nie są, ale mogą zapobiedz brakowi drobnych, tak się dającemu we znaki.

To tylko bieda, że obecnie można się łatwo bez nich i obejść, gdyż za koronę właściwie nic już nie kupi, a najniższą jednostką monetarną stała się dziś dziesięciokoronówka, nie przedstawiająca nawet i tej wartości, co dawniej korona.

Czyli innemi mówiąc słowy, dawniej były towary, ale nie było ich kupić za co, gdyż brakło drobnych, a każdy chciał ich mieć jak najwięcej, by się uchronić od podatku przy stemplowaniu, dziś są drobne, ale niema co kupować za nie, gdyż, albo brak towaru, albo, jeżeli jest, trzeba zań płacić „grubymi".

Nawet przyszli obszarnicy bojkotują nas i nie przynoszą nic na targ, nie uznając magistrackiej taryfy maksymalnej. Pocóż zresztą mają się fatygować, skoro wyręczają ich w tem bardzo chętnie przekupki i drobni sklepikarze, zakupujący wszystko według podyktowanych cen, a puszczający towar w dalszy handel po jeszcze wyższych.

Jakieś środki zaradcze ma wynaleźć magistrat, policya i straż obywatelska. Kiedy to jednak nastąpi, to tajemnica urzędowa, której zdradzić nie wolno.

Widzę z boleścią, że dotąd o wakacyach bardzo mało napisałem, zabierając natomiast głos *de omnibus rebus et quibusdam aliis*, a tymczasem wakacye gotowe się skończyć.

Obecnie są one w całej pełni, odpoczywa bowiem i warszawski Sejm i krakowska Rada miasta, odzywa się i paryska Koferencya pokojowa, że i jej, po ośmiu miesiącach obrad należałoby się wytchnienie.

Zupełna racya!... Nawet koń musi sobie przecież odpocząć, choć ma cztery nogi.

Ale nie wszyscy wypoczywać mogą. Dla niektórych właśnie teraz zaczyna się czas intenzywnej pracy, a należą do nich przedewszystkiem członkowie rządu warszawskiego. Jedni z nich mają przed sobą bardzo ważne zadania do spełnienia, drudzy pakują swe kufry, aby się przenieść w dobrze zasłużony stan spoczynku, czyli rozpocząć nieograniczone wakacye, tak jak to już zrobił pan Karpiński.

Prezydent Paderewski jest oczywiście także w ruchu. Raz gości senatora Morgenthana, to znów wita „wielkiego Amerykanina" Hoovera, generała od światowej aprowizacyi.

Senator Morgenthau bada ciągle bardzo energicznie i gorliwie położenie Żydów w Polsce i chciałby koniecznie znaleźć „uciemiężonych", ale się mu to nie udaje. Widzi, że im tu dobrze i że Polska, to właśnie dopiero prawdziwa ziemia obiecana dla dziatwy Izraela. W tym celu, aby mniejszość narodowa tem silniejsze korzenie zapuściła, zakłada podobno w Warszawie bank na wielką skalę, gdzie Polacy znajdą kredyt, a Żydzi, jak to wyraźnie zaznaczył, zajęcie.

Hoover, dyktator, czy jak go nazwałem, jenerał od aprowizacyi światowej, także osobisty przyjaciel Wilsona, przyjechał do Polski w tym celu aby nam powiedzieć na rozum, że się należy zabrać raz już do pracy. Niania Ameryka karmiła dotąd polskiego noworodka (naturalnie nie zadarmo!...), ale to wieki trwać nie może. Na przekonanie nas o tem przeznaczył kilkanaście dni, które spędził nad Wisłą.

Tak się już przyzwyczailiśmy do tego, że każdy, o kim się mówi „osobisty przyjaciel Wilsona", to Żyd, że poprostu dziwnem się wydaje, iż Hoover wygląda zupełnie po chrześcijańsku.

Zresztą i pan Paderewski jest osobistym przyjacielem Wilsona, a jego chyba nikt o semickie pochodzenie nie posądzi.

Kto jednak ma najcięższą dziś robotę, to ów „mąż opatrznościowy", Biliński. Ma on za jednym zamachem wyciągnąć nas z błota i wyczyścić warszawską stajnię Augiasza z tego śmiecia, jakie się tam nagromadziło jeszcze od czasów gabinetu Moraczewskiego, kiedy to niektórzy nawet ministrowie nie uznawali prawideł polskiej ortografii. Blady strach obsiadł ludzi o „domowem wykształceniu", którzy widzą, że kończą się dla nich złote czasy, a zbliżają wieczne wakacye.

Bilińskiego na jednem i drugiem polu czeka bardzo ciężka praca, nie ulega przecież wątpliwości, że jej sprosta. Przyjdzie mu walczyć z niejedną przeszkodą, zwłasza, że jako pochodzący z Galicyi, przez Kongresowistów zaliczony będzie też do „plag", jakie ich trapią (gdyż wykazują im ich nieudolność i nieuctwo...). Ale on dał już tyle dowodów prawdziwie młodzieńczej siły i enegii, iż nie należy wątpić, że trudności zwalczy i utoruje drogę ku lepszej przyszłości.

Może wówczas Królestwo zmieni zdanie o tych, którzy pochodzą z byłego zaboru austryackiego i przyzna, że i oni, choć mają wykształcenie fachowe, a nie „domowe", mogą się na coś przydać.

Bo oni (Królewiacy) tak źli nie są, za jakich chcieliby uchodzić, oni nas nawet i kochają, ale to im się nie podoba, że nam się zachciewa tych posad, które oni uważają za swą nieograniczoną własność. Solą w oku jest im też nasze fachowe wykształcenie, jakiego pod rosyjskim rządem zdobyć albo nie mogli, albo nie chcieli, uważając „domowe" za zupełnie wystarczające.

I stąd ta ciągła nagonka na wszystko, co pochodzi z Galicyi, odsądzenie nas od czci i wiary, choć jeśli gdzie, to właśnie w tym wypadku dałoby się bardzo trafnie zastosować zdanie: „Widzi źdźbło w oku bliźniego, a belki w swem własnem nie spostrzega!..."



Nowa opera polska: Bolesław Wallek-Walewski, autor opery „Dola".

Nowa opera polska.

Jakkolwiek na zawiązku kosmopolitycznym utkana „Dola" jest jednak naszą li tylko naszą operą. Bo też wszyscy ci ludzie, splatający się na bogaty w treść dramatyczną utwór, są wyjęci z tej biednej, znękanej niwy polskiej, a los ich płynie szeroką falą w koronkowej harmonii tenów, w pianissimach żałośnie płaczących skrzypiec i kryształowych arpegiach. Ta dola, to dola bólem przepojonych i idących w jarzmie szarej codzienności, która wszystko tak, a nie inaczej powiązała i właśnie dlatego tak tragiczna i tylą łez przepojona. Poruszono tu wspomnienia, które i dziś żyją w sercach i w niejednem snują się cieniuchnem pasemkiem sinych dymów, bólu. Ten właśnie nastrój nadaje naszej nowej operze wysoki podkład dramatyczny, który w utworach muzycznych jest tak rzadki; a przecie zespolone te dwa ważne czynniki sceniczne, dają wrażenie żywe i całkowicie odpowiadające wymogom sztuki dramatycznej. To właśnie w silnej mierze podnosi wartość opery Walewskiego. „Dola" jest dramatem muzycznym w rodzaju „Carmen" „Madame Butterfley" i kilku zaledwie innych. Muzyka tu dostraja się, albo ściślej biorąc, podporządkowuje akcyi, a przez to znamienną cechą nie jest melodya, muzykalny wyraz, zabarwienie orkiestrowe, ale muzyka idzie tu przecie równolegle. Wolna od przeładowania instrumentacya, na tle wspaniale zakrojonych chórów, a dalej ten indywidualnie polski charakter wyłaniający się gwałtem z nawskróś nowoczesnej struktury muzycznej opery, wskazuje, że Walewski opanował całość doskonale pod względem techniczno muzycznym. Ale jest jeszcze inna cecha, to wysoki liryzm już także wybitnie polski, któremu przecie nie dorówna żaden obcy kompozytor, bo to jest we krwi. Reasumując wszystko, musi się powiedzieć, że otrzymaliśmy znowu jedno z wielkich, a tak nielicznych w naszej twórczości dzieł, zapewniające młodemu kompozytorowi trwałe imię w naszej operze.



Kolonie dla młodzieży. Nauczycielki kolonii w Skawcu z dyrektorem Swibą.



Kolonie dla młodzieży: Dzieci z Krakowa w Skawcach

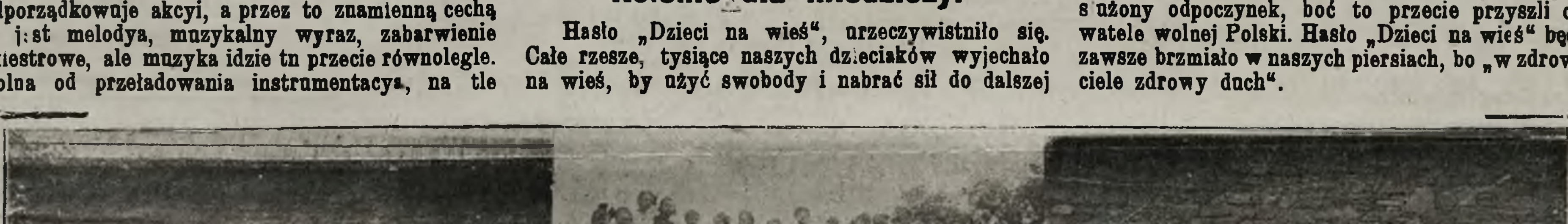
Kolonie dla młodzieży.

Hasło „Dzieci na wieś", urzeczywistniło się. Całe rzesze, tysiące naszych dzieciaków wyjechało na wieś, by użyć swobody i nabrać sił do dalszej nauki. Roją się wsi od grup dziecięcych, wysyłanych przez T. O. M. i przez rozmaite stowarzyszenia, mające na celu wysyłanie dzieci na wieś. Najwięcej dzieci wyjechało ze Lwowa na letnie wywczasy, by poprawić nadwątlone zdrowie i ochłonąć z tych strasznych chwil, jakie przeżyły w ubiegłych miesiącach, w czasie inwazyi ukraińskiej i oblężenia tego miasta przez barbarzyńskie hordy. Największy ruch panuje w Dobrej koło Limanowej, gdzie bawią dzieci ze szkoły żeńskiej im. św. Magdaleny ze Lwowa.

Z ramienia Towarzystwa T. O. M. założona kolonia w Skawcach nad Skawą, składająca się z 320 chłopców i dziewcząt krakowskich, stanęła na poziomie swego zadania. Okolica zdrowa, lesista, wiankiem gór okolona, w zupełności odpowiada warunkom hygieny. Tu podkreślić należy bardzo umiejętne i sumienne kierownictwo kolonii p. dyrektorów Swibów, którzy już kilkuletnią pracą dali dowody swoich prawdziwych obywatelskich zasług. Również z kół rodzicielskich dochodzą nas głosy pochwalne, prawdziwej i troskliwej opieki grona nauczycieli.

Wielkie dzieło naszego społeczeństwa, wysyłania „dzieci na wieś" spełniło się. Zdrowe, czerstwe i ochotne do pracy, wróci dziecko polskie w mury miast, by wziąść się do pracy i kształcić umysł na pożytek i dla dobra Ojczyzny.

Przy tej sposobności trzeba podnieść także akcyę rządu polskiego w sprawie opieki nad dziećmi wysyłanemi do kolonii letnich. Rząd polski nie szczędził pieniędzy i trudów, by dzieci, szczególnie ze wschodniej Galicyi miały zasłużony odpoczynek, boć to przecie przyszli obywatele wolnej Polski. Hasło „Dzieci na wieś" będzie zawsze brzmiało w naszych piersiach, bo „w zdrowem ciele zdrowy duch".



Kolonie dla młodzieży: Dziewczynki w kolonii w Skawcach. — Kolonia szkolna żeńska im. św. Magdaleny ze Lwowa w Dobrej koło Limanowej. — Chłopcy w kolonii w Skawcach.

Od Redakcyi.

Zwracamy uwagę P. T. Czytelników, że jedynie ci są uprawnieni do ubiegania się o nagrody, którzy nadeślą rozwiązania **wszystkich** zagadek.

Zagadki do nagrody.

Trójkąt magiczny.

Ułożyła M. Kozłowska, Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy nazwisko znanego posła polskiego.

■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■
■ — — — — — —
■ — — — — —
■ — — — —
■ — — —
■ — —
■ —
■

Znaczenie wyrazów: 1) Szukany wyraz. 2) Prowincya w Grecyi 3) Herb polski. 4) Zeznanie podatkowe. 5) Imię męskie. 6) Część doby. 7) Zaimek. 8) Samogłoska.

Łamigłówka muzyczna.

Ułożył X. Y., Kraków.

Z każdego tytułu wyjąć jedną literę i ułożyć z nich tytuł opery polskiego kompozytora:

Marta, Helka, Carmen, Straszny dwór, Cavalleria rusticana.

Logogryf.

Ułożył Br. S., Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Litery wstawione w miejsce kwadratów, czytane z góry na dół, utworzą tytuł i nazwisko angielskiego męża stanu.

■
— ■ —
— ■ —
■
— ■ —
— ■ —
■
— ■ —
— ■ —
— — ■ — —
— — ■ — —

Znaczenie wyrazów: 1) Spółgłoska. 2) Ptak. 3) Okres czasu. 4) Spółgłoska. 5) Miasto w Finlandyi. 6) Herb polski. 7) Spółgłoska. 8) Miasto w Rosyi. 8) Zwierzę domowe. 10) Imię męskie. 11) Tytuł.

Zadanie do uzupełnienia.

Ułożył K. Mucha, Tarnów.

Przez dodanie odpowiednich spółgłosek utworzyć początek znanego polskiego poematu

-i--o, o---y--o-o-a,-y-e--e--a--- o-ie,
i-e-ię-e-i----e-a,-e--y--o-ię-o-ie,--o-ię---a-i-l

Za dobre rozwiązania wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania: 1) „Pijawki" (powieść), 2) paczkę papieru listowego (25 arkuszy i kopert)

Rozwiązanie zagadek z Nru 32.

Logogryf. R, rok, k, noc, w, cal, n, Nil, a, Iza, ach, kozak, kreda, Moeny, kahał, karabin, otomana, monitor.

Bilety wizytowe: Kapitan, Kapelan, Major, Jenerał, Dobosz.

Dobre rozwiązania nadesłali pp.: K. Gamaj Kraków, R. Josek Lipnik, M. Sachowicz Kraków, W. Hałdziński Siedlanka Kolbuszowa, ks. J. Welc Sanok, X. Y. Kalisz s. p. 48. M. Ogibiński Rzęczyca, K. Osadowski Kraków, R. Kimalski Jasło, L. Kołodziejski Częstochowa. F. Jamiński Kraków, J. Wieczyński Zakopane, M. Kwaśniewska Przemyśl, S. Bandrowski Staszów, J. Barański Kraków, J. Obst Lwów, S. Jaworski Bochnia, B. Siewarga Kraków, Z. Kowalski Wadowice, J. Wilczyński Nowy Sącz, M. Wierzbińska Zakopane, K. Łopatyński Przemyśl, Z. Sperling Wiedeń, M. Lipska, Sambor, Z. Kozłowski Warszawa, S. Krzyżanowski Kraków, M. Wojciechowska Lwów, J. Matyka Warszawa, G. Cielecki Poznań, J. Karwowski Zamość, Z. Rosenbaum Rzeszów, M. Zak Kraków. J. Krawecki Przemyśl, M. Nowińska Kraków, B. Popiel Jasło, W. Schneider Sandomierz, Z. Górecki Kraków, K. Burnatowicz Lublin, E. Radoszewski Zaiesie, J. Opolski Kraków, M. Michalska Tarnów, J. Gomułka Kraków, K. Decowski Warszawa, J. Augustyn Lwów, K. Lisowska Lwów, M. Wang Rzeszów, J. Woźniak Mszana, M. Bilińska Zakopane, S. Herz Łódź, H. Maciejowski Lwów, S. Bukowski Winnica, J. Larysz Kraków, H. Pierożek Kraków, T. Winnicki Lwów, Z. Dąbrowski Przemyśl, M. Długoszewski Warszawa, J. Makosiński Kraków.

Nagrodę przez losowanie otrzymali: 1) J. Makosiński Kraków, (książka) 2) Ks. J. Welc Sanok, (papier listowy). Upraszamy o nadesłanie 75 hal. na koszta poleconej przesyłki nagrody.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie pod zarządem Pawła Madejskiego